№ 17. Warszawa, dnia 16 (28) Kwietnia 1886 r. Rok XXI.

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

One widziały Go, kiedy umierał,
Pochylił głowę i oczy zawierał,
One—Judejskie niewiasty w żałobie!
Widziały jako pochowany był w grobie
Jak go tam uczeń bolejący złożył....
Przecież o świcie trzeciego zarania
Były tam, kędy anioł zmartwychwstania
Rzekł: — Chrystus ożył!

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Podobało się królowi dekret w sprawie Wojewody Wileńskiego z niejakim Jewłaszewskim kazać Radziwiłłowi podpisać i przypieczętować. Wojewodą Wileńskim był naówczas Krzysztof Chodkiewicz, bo tensam Radziwiłł ofiarowanego mu województwa nie przyjął. Pomiędzy dwiema rodzinami była waśń zadawniona, przygojona, ale nie ugaszona zupełnie: musiał więc ks. kanclerz dekret dobrze rozbierać, aby w nim makuły najmniejszej nie było.

— N. Panie — odezwał się kanclerz po odczytaniu dekretu — ja go podpisać nie mogę.

— Dlaczego? — porywczo podchwycił król, który na Radziwiłła powolność i przywiązanie do siebie rachował.

— Bo go pisał człowiek prawa litewskiego nieświadomy i są w nim punkta ingrossowane, których ono nie dopuszcza.

Zaczęto się sprzeczać; Jan Kazimierz, który prawa szanować tak dalece nie umiał, zmusić chciał kanclerza do podpisu.

Staremu przymus był nieznośnym. Nakoniec król zawołał:

— Nie chcesz podpisać? No, to ja sam go podpiszę...

Radziwiłł się uśmiechnął.

— N. Panie, a któż pieczęć przyciśnie? — zapytał.

Nadąsany, odchodząc, zamruczał król:

— Prawo litewskie! przecież ja je tak znam, jak i wy.

— Przebaczysz mi, w. król. mość — rzekł kanclerz zimno — na to się nie godzę. W. król. mość panujesz nam miłościwie od roku, a ja przez trzydzieści dwa lata z prawem mam do czynienia.

Mocno rozjątrzony tą odpowiedzią, ani słowa już nie mówiąc, Jan Kazimierz — wyszedł, stukając drzwiami, i spotkawszy Butlera, skarżyć się począł przed nim na kanclerza; ale starosta nie wtórował mu.

Do następującego poranku zmieniło się wszystko: król ochłódł, dekret kazał przepisać i dawna dobra komitywa z Radziwiłłem powróciła, bo bez Jewłaszewskich łacno się król mógł obejść, lecz bez Radziwiłłów—nie sposób...

Ale powaga majestatu na tych bezsilnych pokuszeniach nie zyskiwała. Tymczasem nalegano z jednej strony, zwlekano z drugiej nieuniknione zdanie sprawy przed sejmem z wyprawy i Traktatów Zborowskich,

Gotowało się na to wielu. Radzono o tem u królowej, u króla, u kanclerza Ossolińskiego, u panów senatorów dworowi sprzyjających—i w końcu, za wiedzą Maryi Ludwiki, bo bez niej się tu nic teraz nie mogło dokonać, kanclerz się przygotował ze swego dzieła zdać rachunek.

Dwojaką miał do wyboru drogę Ossoliński: albo skromnie bardzo wytłómaczyć się z tego, co uczynił, koniecznością i składem okoliczności, lub nadzwyczaj wysoko podnieść wiktoryą zborowską i własny traktat, a że ogólne usposobienie paskwilluszami się zdradzało: kanclerz więc, wbrew niemu, postanowił niesłychanie wysoko wynieść ową bitwę i tranzakcyą zborowską. Zmniejszył umyślnie środki, jakiemi król rozporządał, aby to, co niemi wykonał, urosło.

Pierwszego dnia w Sobotę, słuchano w sejmie niedokończonej relacyi w milczeniu posępnem; nikt nie podnosił głosu. Niedziela przerwała i rozcięła na wpół sprawozdanie Ossolińskiego, który w Poniedziałek ciągnął je dalej—i ośmielony milczeniem, wyniósł zwycięztwo nad Tatarami pod Zborowem wyżej Chocimskiego!

Milczeniem i to przyjęto, ale wejrzenia biegały po sali szyderskie. Wstał tedy prymas królowi za ocalenie ojczyzny dziękować, dziękowano wodzom, chciano i Kisielowi dziękować, który z narażeniem gardła do Chmiela posłował, ale tumult powstał. Zaprotestowano. Skończyło się to jednak cicho i pięknie, bo dzięki wogóle składano wszystkim, a marszałek sejmowy w języku ówczesnym, przesiąkłym łaciną, wojowników, ojczyzny obrońców, nazwał „delicyami narodu."

Prawdziwy tryumf odniósł hetman litewski Radziwiłł, który się do niego przygotował, bo zdobyte chorągwie kazał przynieść za sobą i te pod nogi królowi rzucił!

Rozprawiano potem o potwierdzeniu traktatów... król nieustannie był czynny, ale poswojemu. Przybywał roztargniony, słuchał, gotową już, podyktowaną przyniósłszy odpowiedź, zbywał się co najrychlej spraw poważnych, a zabawiał drobnostkami. Do trosk przybyła mu teraz jedna jeszcze.

Zajmowała go zawsze wielce piękna marszałkowa Kazanowska: musiał więc i jej losem się niepokoić. Od kilku tygodni Adam Kazanowski leżał w łóżku, paraliżem ruszony, niewyraźnie ledwie bełkocząc, na śmierć nieuchronną skazany.

Bezdzietny, dotąd nie uczynił testamentu, a teraz go już z trudnością mógł uczynić. Dawniej, za żywota całe swe mienie przeznaczał żonie, ale rodzina czychała na zgon... i byłaby zabrała ogromną fortunę, gdyby... król nie przyszedł w pomoc.

Kazanowski miał się z każdym dniem gorzej. Być wygnaną z tego raju, jakim był wspaniały pałac marszałkowstwa, odartą z dóbr... lub zostać na łasce rodziny... nie chciała marszałkowa. Dała znać królowi, iż widzieć-by go pragnęła.

Chociaż łaski, w jakich u Jana Kazimierza była piękna Kazanowska, Maryą Ludwikę dla niej źle usposabiały, król jednak nie wahał się na żądanie jejmości stawić się rano w pałacu.

Wyszła do niego z dziękczynieniem zapłakana pani.

— A! N. Panie — zawołała — nie śmiałabym była do łaski jego się uciekać... ale los mój, cała przyszłość, w rękach w. król. mości. Adam, mąż mój... leży na śmiertelnej pościeli, ocalenia go niéma nadziei; biedna wdowa pozostaję otoczoną nieprzyjaciołmi. Testamentu nie miał czasu, nie ma dziś możności, uczynić...

Załamała ręce i rozpłakała się piękna pani. Król mocno się poruszył.

— Zawezwę do rady prawników — rzekł — da się cóś zapewne uczynić, bądź pani spokojną. Sam słyszałem z ust marszałka, iż chciał jej po sobie całą pozostawić spuściznę.

Kazanowska za łzami niewiele już mówić mogła; tłómaczyła się, że nie chciwość nią powodowała, ale mieszkanie to było dla niej pełnem pamiątek, a rodzina natychmiast ją z pałacu i z dóbr wygnać się już odgrażała. Szło jej o dowód miłości męża i t. p.

Wprost od marszałkowej król na zamek powróciwszy, nie wiedząc, jak sobie radzić, jak zwykle, gdy potrzebował wytrawnego pomocnika, posłał po Radziwiłła. Ze starym tym przyjacielem ciągle prawie to się waśnili i sprzeczali; gdy królowi uledz nie chciał, to go sobie król ujmował, bo wielką w nim czuł podporę. Ks. kanclerz, znający zdawna humor i temperament pana, śmiało sobie z nim poczynał.

Tym razem przyjął go Jan Kazimierz serdecznie i zamknął się z nim na radę.

Radziwiłł był tego zdania, iż dwu poważnych mężów świadectwo urzędownie spisane testament zastąpić mogło. Tegoż dnia uproszeni wojewoda i kasztelan w imieniu króla udali się do marszałka, który całą przytomność zachował jeszcze, chociaż życie uchodziło i z trudnością mógł mówić.

Przyjął ich Kazanowski, dziękując N. Panu za troskliwość o los żony, i na zapytanie: jakby chciał spadkiem po sobie rozporządzić?—oświadczył, że wszystko, bez najmniejszego wyjątku, przekazywał żonie.

Wojewoda Czernichowski oświadczył mu, że dla waloru ta wola ostatnia musiała być natychmiast spisaną, opieczętowaną i przez nich poświadczoną, co też dopełnionem zostało.

Kazanowski rzekł jeszcze głosem niewyraźnym, iż teraz umiera spokojny...

W ten sposób królowi Janowi Kazimierzowi zawdzięczała pani marszałkowa, iż się przy ogromnej fortunie męża utrzymała, a rodzina ostatniej woli, tak uroczyście objawionej, sprzeciwiać się nie mogła.

Znaczniejsza część senatorów i wielu posłów byli na wielkiej uczcie u prymasa Łubieńskiego; w sam dzień Bożego Narodzenia, gdy na wety smutną dworzanin arcybiskupa przyniósł wiadomość, że Adam Kazanowski rozstał się z tym światem.

Każdy taki zgon znaczniejszego urzędnika w państwie wszystkich poruszał; otwierał się wakans, a za jednym szły całym szeregiem opróżnione krzesła.

Do króla mało kto nawet się zwracał w takim wypadku, bo bez Maryi Ludwiki nie dawał on nic i niczem nie rozporządzał, a jeżeli się pozwolił namówić i zaskoczyć, pokutował tak potem za swą samowolę, iż się potem wyrzekał tych zachcianek na długo.

Zawakowało marszałkowstwo koronne; pozostawała piękna, młoda, bogata wdowa: było więc o czem rozprawiać czasu godów. Przez trzy dni świąt król i dwór cały prawie całe dnie spędzał na nabożeństwie w kościele, ale to nie przeszkadzało bieganinie za wakansami, i antykamera ks. de Fleury, p. Desnoyers, nawet panny Langéron, petentów i ich przyjaciół były pełne. Szeptano, obiecywano.

Nie dosyć tego, pod koniec sejmu, między kanclerzem Ossolińskim a Wiśniowieckim wszczęła się zwada, która z nieopatrznych słów Ossolińskiego urosła.

Począł się w senacie uskarżać na paszkwille, sławę jego szarpiące, na potwarze, jakie na niego rzucano, na przycinki, które cierpiał, a tak się rozgorączkował mówiąc, iż nietylko stronnictwo Wojewody Ruskiego Wiśniowieckiego, ale niemal jego samego dotknął, wskazując, jako sprawcę.

Nazajutrz wystąpił przeciwko temu Wiśniowiecki, przyszło do przymówek ostrych, do kłótni w izbie i hałasu, który król napróżno starał się hamować. Ossoliński się unosił do zbytku i Jana Kazimierza sobie naraził. Dopiero następnego dnia za wdaniem się niektórych posłów, zahamowano dalsze wyrzuty i prywatne skargi, co tyle czasu zabrało, że już sejmu z Grudniem zamknąć nie było można, i odłożono konkluzyą na rok przyszły.

Ossoliński krwi sobie napsuł, a poważnego Wojewodę Ruskiego, który się chłodno bronił i spokojnie tłómaczył, podniosła ta zwada w oczach wszystkich, chociaż stał i tak wysoko.

Rozdrażnienie kanclerza słusznie niedobrej jego sprawie przypisywano, dla poprawienia której, usiłował drugim coś odebrać, a sobie dodać, co mu brakło.

Nadszedł Nowy Rok, nabożeństwa, a co daleko ważniejsza, wakanse, o które się starano, aby je król zaraz porozdawał.

Mówiono pocichu, że królowej sto tysięcy złotych ofiarowano za marszałkowstwo po Kazanowskim, ale tu... Radziwiłłowie stali, i Lubomirscy, na straży.

Brat więc żony ks. Albrechta, Jerzy Lubomirski, starosta generalny krakowski, wakans ten otrzymał.

Formalne rozpoczęły się targi, i nie bardzo się z niemi tajono. Jan Kazimierz napozór przynajmniej do nich się nie mieszał; dawano porękawiczne królowej jejmości, które czasem setki tysiąców wynosiło.

Zaraz po Nowym Roku Albrechta Radziwiłła wezwała królowa do siebie. Chciała mu dać starostwo borysowskie, bo jej wzamian Tuchola była potrzebna, ale kanclerz podziękował.

Tegoż dnia, biednemu umęczonemu a zasłużonemu Kisielowi, dano Nowytarg, a synowcowi Radziwiłła Marya Ludwika ofarowała starostwo owo borysowskie, którem stryj pogardził, i do-

datku 30,000 podarku, ażeby się jej postarał o to, by Rzeczpospolita naznaczyła rocznej intraty czterdzieści tysięcy z Korony, a dwadzieścia z Litwy.

Jak się to nam dziś wydaje, że naówczas możny wielce pan, wysoki dygnitarz, wielkiego imienia mąż, z królową jejmością mógł tak frymarczyć? Czasy były, niestety, takiego moralnego upadku, takiego można powiedzieć bezwstydu, iż to nikogo nie raziło. Rwał każdy Rzeczpospolitę biedną, która wojska nie miała czem opłacić, bez litości i sumienia.

Tensam kanclerz Radziwiłł, surowej moralności mąż, który w kozackich buntach widział sprawiedliwą karę bożą za ucisk chłopów, w tych szachrajstwach nie czuł nic zdrożnego i najtroskliwiej je na kartach swoich pamiętników zapisał.

A! smutne to są dzieje! pióro nieraz wstrzymuje się i wzdryga, gdy do ich rozbioru i sądu przychodzi. Sejm kończył się pośpiesznie... czasu zmarnowanego nie stawało na najważniejsze sprawy... Dzień jeden ukradło wesele panny Langéron, faworyty i sługi królowej, wydanej przez nią za Kasztelana Płockiego, z której zmarszczków się naśmiewano, drugi zajęły przenosiny... a tymczasem posłowie kozaccy ze swym metropolitą mieli czas nową nienawiścią się napoić i przypatrzyć temu społeczeństwu, które wcale zagrożonem się nie czuło i znowu hardo podnosiło głowę.

Na samą wzmiankę o tem, ażeby metropolitę do senatu przyjąć,miano—krzyk powstał okrutny, i Paktów Zborowskich znać już nie chciano, a tak to sobie mało ważono, iż tymczasem na weselu panny Langéron pół sejmu piło i skakało.

Nie było tam, niestety Bojanowskiego, a gdyby się ten był znalazł, pewnieby go za drzwi wypchnięto...

Tak, ciągle przeciągany z dnia na dzień sejm aż do końca Stycznia się przewlókł, wszystkich znużywszy.

Jak groźne memento, przyszli na zamknięcie jego Kozacy ze swym metropolitą, i—żądania ich, po długich targach zaspokoić było potrzeba.

Ogólny obraz tych obrad w chwili niesłychanej wagi—boleścią napełnia.

Ślepota zdaje się ogarniać wszystkich, nikt nie widzi, nikt nie przeczuwa, nie rachuje. Wszystkie sprawy wykolejone chwilowo pogromem, któreby na nowe, lepsze tory wejść mogły, wpadają na stare drogi wyboiste... i znowu wloką się niemi.

Z Kozactwem jakby wszystko było skończone.

W całej potędze swej czasu tego sejmu ukazuje się królowa, wszyscy wiedzą i mówią, że ona kieruje królem, jak „murzynek słoniem“—Jan Kazimierz bawi się, nudzi, niecierpliwi, gniewa, ale nigdy życia i panowania nie widzi jasno, ani bierze do serca...

Najważniejsza sprawa w senacie mniej go obchodzi, niż jego karły, małpy, papuga i skandaliczne plotki dworskie, któremi karmić się lubi. Do tego ma kilku pokojowców, co mu wszystkie zamkowe śmiecie, po kątach zebrane, przynoszą.

Z tych słabości korzystają wszyscy, począwszy od niegdyś zasłużonej Bertoni, aż do najmniejszego pokojowca.

Przy ludziach wszyscy się przed majestatem korzą, ale dwór pański, gdy sam na sam z nim jest, obchodzi się z poufałością rażącą.

Rozpasanie ledwie starsi wstrzymać mogą, a król swem postępowaniem je utrwala. Wesele panny Langéron, dla Bertoni szczególniej było powodem, iż zatęskniła za dawno nienawidzonym swym protektorem. Wiedziała o sejmie, bo pełnem go było miasto, nie cisnęła się na zamek, zdało się jej wszakże na Nowy Rok obowiązkiem siebie i córkę przypomnieć. Ale jak się tu dostać do króla?... Strzębosz, gdyby się tylko odezwała, byłby jej pewnie i chwilę znalazł i bocznemi drzwiami wprowadził, jednak za nic w świecie uciec się do niego nie chciała.

Trafiło się starej, że koszyk pomarańcz, bardzo pięknych, na Starem Mieście kupić mogła nie drogo. Przeznaczyła go na noworoczny podarek dla N. Pana.

Lecz jak go tu oddać i zanieść? Między starszemi sługami na zamku miała wprawdzie znajomych, lecz, że teraz urosła, nie ze wszystkiemi się bratać chciała.

— Cieszyłam się, gdy królem został — mówiła sama do siebie Bertoni — myślałam, że mi co z tego przyjdzie, a tu ani się do niego dobić. To tak pozostać nie może—nie!...

Kręcąc się po kurrytarzach zamkowych, trafiła na trochę jej z widzenia znanego pokojowca królewskiego, z niemieckiem nazwiskiem, ale już w Polsce narodzonego i wychowanego, Richtera.

Zaczęła od tego, że mu ofiarowała jedną pomarańczę i uśmiech swój zawiędły.

— Chciałabym z gościńcem na chwileczkę się dostać do garderoby N. Pana, hę? Puścicie mnie.

— Nie — odparł Richter — ale króla zapytać mogę.

— Powiedz mu, że przyszła Bertoni! rozumiesz wpan, niezawodnie wpuścić każe.

Richter poszedł i przepadł, nie powrócił, pomarańcze z nim. Włoszka gniewać się zaczęła już, bo w kurrytarzu stać dumę jej obrażało, gdy ujrzała przed sobą Strzębosza.

Chciała już precz iść, aby się z nim nie kłócić, ale Dyzma ją zagadnął:

— N. Pan polecił mi wprowadzić na chwilkę do garderoby — rzekł — proszę wpani za mną. Grzeczniejszy jestem, niż jejmość we własnym domu.

To mówiąc otworzył drzwi.

W garderobie przed źwieciadłem w srebrnych ramach stał nawpół już ubrany, ale nie po polsku, bo strój ten rychło zrzucił, Jan Kazimierz; włożył był właśnie perukę, a drugą na ręku trzymał, do wyboru chłopak. Usłyszawszy szelest sukni kobiecych, odwrócił się.

Nie na rękę byli świadkowie Włoszce: postawiła szybko koszyczek z pamarańczami przed królem i poczęła mu winszować powłosku.

Śmiejąc się, król życzenia przyjmował. Bertoni skarżyła się, że do króla teraz przystęp był tak trudny dla niej, gdy ona też mogła się na coś przydać... ostrzedz i posłużyć. Nie wytrzymała potem, aby nie wyrzucić niewdzięczności — zaniedbania, niepamięci na jej dziecko.

Nawykła do bardzo swobodnego obchodzenia się Bertoni coraz żywiej i głośniej wyrażać się zaczęła.

— Królowa Jejmość, jak kogo lubi i proteguje, to mu się z tem dobrze dzieje—wołała, coraz bliżej następując na króla a z W. Król. Mości nawet najwierniejsze sługi nic nie mają. Com się to ja spodziewała dla Bianki! Langéron poszła za kasztelana, królowa ją sama mu odwiozła! hę?

Śmiał się król.

— Cóż ty chcesz? abym ja ci dla córki senatorów swatał — i za drużbę służył? Oszalałaś czy co!—Mówisz, że do mnie przystępu niéma... ale to teraz Sejm; mam co innego na głowie. Pilno ci z czem: przez Strzębosza możesz nakazać do mnie.

Porwała się strasznie rozsierdzona Bertoni.

— Ten to nicpoń wszystkiego złego dla mnie przyczyną!—zawołała. Ja go znać nie chcę... noga jego nie postanie u mnie.

Jeden z dworzan króla zbyt głośno krzyczącą Bertoni pociągnął za rękaw i przestrzegł — ciszej...

Zmieszało ją to tak, że płakać zaczęła, co się rzadko trafiało, chyba do ostateczności była rozjątrzoną.

Król spojrzał na nią.

— E! —zawołał kwaśno—deszcz pada... burza ciągnie... trzeba uciekać. Słyszysz Bertoni! czasu niemam—czego ty chcesz ode mnie?

Włoszka wpadła w większe jeszcze rozdrażnienie.

— Jakto, czego ja chcę?—poczęła—ale W. Kr. Mość przyrzekałeś mi opiekę dla mnie i dziecka... wszyscy przecie wiedzą, że do niej mam prawo, a i Bianka nie mniejsze. Cóż potem: drzwi dla mnie zamknięte... król mnie znać nie chce.

Jan Kazimierz zwykle, gdy do podobnych scen przychodziło, salwował się ucieczką; więc, choć by był może perukę odmienił, pozostał z tą, którą miał na głowie i skierował się ku drzwiom, ale Włoszka mu od nich zaskoczyła.

— N. Panie—zawołała—nie godzi się tak mnie pozbywać!

— Czegoż chcesz?

Właściwie Bertoni w kilku wyrazach życzeń swych wypowiedzieć nie mogła, a długich wywodów król słuchać nie miał czasu. Przerywał jej kilka razy, dworzanie z tej napaści śmiać się zaczęli i parskać, to podbudziło do śmiechu króla, a Włoszkę do wściekłości.

Zapomniała się zupełnie. Szczęściem tylko, że nie wszyscy rozumieli, co powłosku wywoływała.

— Taki z ciebie król! malowany! Co jejmość każe, to robisz... co magnaci podyktują, co sobie piękne panie wyproszą! Jam też śmieszna, że na takiego rachowałam. Nikomu z ciebie nic... Głoszą twoje zwycięztwa!... a świat się z nich śmieje; powiadają, żeś się z łyk Tatarom wykupił. Dobrze ci tak... dobrze ci tak!!

Jan Kazimierz śmiać się przestał, ale się nastraszył i rozgniewał.

— Milcz—krzyknął do Włoszki—bo cię wyprowadzić każę. Masz co do mnie, a Strzębosz ci nie do smaku, pisz petycyą. Ja się z babami ujadać nie mam czasu.

To powiedziawszy, szybko zawrócił się i wyszedł, a Bertoni z pośrod szydzących i śmiejących się z niej dworaków co prędzej uchodzić musiała. Tymczasem koszyczek pomarańcz przeznaczony dla króla, padł ofiarą. Jeden z młodszych pokojowców pochwycił pierwszą, za nim drudzy po jednej i po dwie tak żywo zaczęli zabierać, że wkrótce ani jednej nie pozostało, a sam koszyk, aby ślad i pamięć zatrzeć, rzucono do kąta.

Strzębosz miał sobie za obowiązek nieszczęśliwą Bertoni, przeklinającą króla, wyprowadzić na kurrytarz, ale jej już nie drażnił i nie odzywał się, aby nie doprowadzić do ostateczności. Towarzyszył tylko aż do wschodów i tu dopiero odezwał się, kłaniając.

— Ja zawsze na usługi wasze jestem, gdyby co do króla JMości było potrzeba... pamiętać o tem proszę, choć wpani mnie znać nie chcesz—trwam w wiernej przyjaźni dla niej i dla panny Bianki.

Uszy sobie rękami zatuliwszy—Włoszka zbiegła z przekleństwem na ustach.

IV.

Rok, który się rozpoczął zamknięciem Sejmu i załatwieniem co najpilniejszych spraw—ciągnął się dalej, niczem nie zapisując się w pamięci, oprócz spraw powszednich żywota.

Był on — cichem przygotowaniem do przyszłości.

Pomiędzy królem a królową związek małżeński wcale niespodzianie ściślejszym się stał, gdy Pan Bóg go narodzeniem córki pobłogosławił. Ale dziecię to długo żyć nie miało.

Marya Ludwika troskliwa o męża, niezaspokojona wypadkiem ostatecznym zborowskich zwycięztw i traktatów, marzyła wojnę nową, aby go nowym okryć blaskiem. Można już wówczas przewidzieć było, że Chmielnicki niedługo pozostanie spokojnym i nie dotrzyma co przyrzekł. Dochodziły wieści o odgróżkach, a usposobienie kozactwa i chłopstwa, które krwi raz zakosztowawszy, zemstą się upoiło—nie dozwalało się łudzić.

Usiłowano w Zaporożu stworzyć partyą wiernych Rzeczypospolitej i stawić ją przeciwko Chmielowi, ale z tymi zbratanymi i serdecznymi działo się prawie zawsze tak, że zrazu kłaniali się, wyzyskiwali, płacić sobie kazali, obiecywali, a w ostatku zdradzali. Na kresach trzeba było nieustannej czujności i nieustannej grozy, bo inaczej, jeno strachem, Kozactwo się ująć nie dawało. Żołnierz zaporozki byłby może wreszcie prędzej się dał pociągnąć i przejednać, gdyby na Tatara i Turka go pociągnięto, ale chłopstwo przynosiło z sobą nienawiść wiekami wykarmioną, w której może tkwiła i ta etnologiczna tajemnica, iż pobratymcze narody częściej względem siebie stoją, jak Able i Kaimy, niż jako krwi jednej dzieci.

Kanclerz Ossoliński, który Traktatów Zborowskich jeszcze dotąd nie mógł od napaści obronić, i gryzł się narzekaniami na nie, od sejmu, choć napozór z Wiśniowieckim pogodziwszy się, choć mu publicznie dziękowano, nosił brzemię ich na piersi. Najmniejsza alluzya, najniewinniejsze słowo, które mogło mieć jakieś zastósowanie, oburzało go i do najwyższego gniewu pobudzało.

Czuł bardzo dobrze, iż gdyby nie to, że król miał udział w układach i jego oszczędzić chciano, wrzask przeciwko nim byłby daleko większy. Króla zaś znajdował Ossoliński niewdzięcznym, i miał słuszność może, bo listem do Hana ocalił, jeśli nie życie, to sławę Jana Kazimierza—i pozłocił pierwszą kartę jego panowania.

Z królem zaś, jako z człowiekiem wielce niestałym i przerzucającym się łatwo na wsze strony, nie można nigdy było być pewnym, ani poparcia, ani uznania. Jednego dnia wynosił pod niebiosa, drugiego zamykał drzwi, dąsał się i gniewał bez przyczyny.

Ossoliński, chcąc sobie hetmana polnego pozyskać, który świeżo z niewoli kozackiej wyszedł, dopraszał się dla niego o starostwo trubowskie... Królowa już je była komu innemu przyrzekła: Jan Kazimierz więc odmówił; nic nie pomogły nalegania. Kanclerz, który chciał wyrobieniem starostwa pokazać swe znaczenie, otrzymawszy odprawę raz i drugi, uczuł to mocno. On, któremu się zdało, iż losy Rzeczypospolitej w jego były ręku, a rozum jego niezbędnym w chwili, gdy się do nowego poselstwa do Włoch i Rzymu gotował, zaskoczony tą odmową, nie mógł jej znieść.

Jednego wieczora powrócił od króla niezmiernie podrażniony, powtarzając sobie ciągle, iż starostwa mu odmówiono, burząc się, unosząc i z tem roznamiętnieniem ległszy na łoże, kadukiem porażony (jak naówczas mówiono), nagle życia dokonał.

Można było się spodziewać, że król śmierć tego wiernego doradzcy, któremu wistocie wiele był winien, uczuje boleśnie; tymczasem spostrzegli to i zapisali, jako świadectwo chłodnego serca króla współcześni, że Jan Kazimierz wcale żalu nie okazał, wiadomość o zgonie przyjął obojętnie i ledwie nie dowiódł swobodą humoru, iż rad się go pozbył. Był to podczas Mentor niewygodny.

Wkrótce potem wyjechał na wielkie łowy jesienne do Białowieży, gdzie mnóztwo żwierza na bito, a po drodze rozerwać się mógł, bo go przyjmowano i ugaszczano, tak jak lubił, zabawiając krotochwilami.

Odznaczył się szczególniej gościnnością tą idący w ślady ojca Starosta Łomżyński Radziejowski, który w Bielsku Jana Kazimierza zatrzymał, dwór i jego przez kilka dni karmiąc, pojąc i obdarzając...

Jan Kazimierz, który go nie lubił, dał się mu przecież ująć, do czego się i to przyczyniło, iż dwa razy owdowiały Radziejewski, jak przewidywano, zaraz po śmierci marszałka Kazanowskiego otwarcie wdowie nadskakiwać zaczął i jawnie się o nią starał.

Osierocona, potrzebująca opieki, zresztą zręcznemi zabiegami przebiegłego a natrętnego niesłychanie człowieka znużona, skłonną już była, jak mówiono, oddać mu rękę.

Los pani marszałkowej króla, który był jej adoratorem, mocno obchodził; małżeństwo to może znalazło u niego z pewnych względów approbatę. Radziejowski zaś potrzebował żeniąc się przynieść z sobą wdowie tytuł znaczniejszy, niż krajczego królowej i łomżyńskiego starosty; chciało mu się i pochlebiał sobie, że z pomocą Kazanowskiej wyjedna u króla... bodaj spadek po Ossolińskim. Zuchwałe to były nadzieje, ale marszałkowa miała fawor wielki u króla jegomości, a Radziejowski był natrętem niepozbytym.

Wszystko on winien był temu niemal bezwstydnemu dobijaniu się. Tak i z panią Kazanowską w początkach, gdy mu jedne drzwi zamykano przekupiwszy sługi drugiemi się wciskał, a żadna odprawa nie pomagała. Jednego dnia się go pozbywszy, drugiego napewno można było się spodziewać, znaleźć go z pogodnem obliczem, jakby nic nie zaszło, na temsamem miejscu i drodze.

Nie dawał pokoju marszałkowej, wszystkich, co ją otaczali, starając się sobie pozyskiwać; potem tak samo nie mógł król się go pozbyć, naostatek w przewidywaniu, że i to się na coś przydać może, począł starosta łomżyński zabiegać około królowej.

I tu potrafił małemi przysługami stać się potrzebnym, szczególniej doniesieniami, na wpół żartobliwemi o królu, o jego... zabawach, stosunkach, wyrażeniach, i t. p. Marya Ludwika, śledząca każdy krok męża i nieustannie dająca mu admonicye, rada była mieć wiadomostki poufne—i posługiwała się niemi. Instynktowo też zazdrosną była o marszałkową Kazanowską, dla której Jan Kazimierz nazbyt wiele okazywał affektu i troskliwości.

Po przyjęciu w Bielsku, mimo zabiegów Starosty Łomżyńskiego, pieczęci większej nie dopuściła mu dać królowa, ale mniejszą miał tak, jak przyrzeczoną, czemu się Marya Ludwika nie sprzeciwiała, a król dla pozbycia się utrapionego natręta, gotów ją był konferować.

Wątpliwe jeszcze wyjście za mąż za Radziejowskiego z końcem roku stało się, najpierw wielce prawdopodobnem, potem nagle dokonanem. Jakim sposobem młodą, piękną, swobodną, wyposażoną ogromnie panią potrafił sobie pozyskać człowiek nie bardzo już młody, i mimo ogłady, mający wiele odstręczającego?—to pozostało tajemnicą. Rodzina Słuszków, szczególniej brat rodzony pani Radziejowskiej, przeciwnym był temu związkowi, wahała się marszałkowa długo, ale nieustępujący kroku, nieustępny, zuchwały, a zręczny starosta umiał tak usidlić kobietę, iż mu rękę oddała.

Ruszano ramionami na to małżeństwo, nie prorokując mu wielkiego szczęścia, ale dla Radziejowskiego był to szczebel do przyszłego wzniesienia się bardzo wielki. Ani w Bielsku, ani w Łomży, ani w Radziejowicach już nie postał pan starosta; wniósł się tryumfalnie do pałacu żony i na krok nie oddalał się z Warszawy.

W tensam sposób, jak z wdową, postępował teraz sobie z królową i królem. Trawił dni całe na zamku, lub w pałacu na Krakowskiem Przedmieściu. Janowi Kazimierzowi, który go już podejrzewał o donoszenie królowej najmniejszych rzeczy, stał się wkrótce nieznośnym.

Dawał mu to król poznać lecz pan starosta, gdy chciał nie rozumieć, nie słyszeć, nie widzieć, czynił się nadzwyczaj łatwo niepojętnym, ślepym i głuchym. Wtem postępowaniu było cóś tak zuchwałego, tak niemal obrażającego, że Jan Kazimierz Butlerowi już począł mówić, iż dałby niewiem co staroście, byle go się pozbyć i tak często na każdym nie spotykać go kroku.

Butler utrzymywał, iż: skoro obiecane podkanclerstwo dostanie, pofolguje: to narzucanie się było tylko przypominaniem się o pieczęć.

Kazanowska, której o tytuł dla męża chodziło, wstawiła się też do króla, a Jan Kazimierz niczego jej odmówić nie umiał.

Mianowanym więc został Radziejowski podkanclerzym.

Z tem nowy sejm się otworzył. Królowa czynną być nie przestawała. Więcej, niż kiedykolwiek, król zupełnie się jej poddał... Po śmierci Ossolińskiego ona więcej jeszcze na ogólny obrót spraw krajowych wpływała.

Starano się ubezpieczyć od Moskwy przewidując już nowe zatargi z Kozakami, którzy także w potrzebie do Moskwy się uciec mogli i z tem się nie taili. Pociągała ich tam jedność wiary, chociaż Chmiel Turka-by był za sprzymierzeńca wolał, bo ten by go swobodniejszym pozostawił. Oprócz układów z Moskwą, w domu był niepokój nieustanny od niepłatnego żołnierza, który związki czynił, wodzów sobie dobierał i ciążył samowolą Rzeczpospolitej. Skarb odrazu wszystkich zaległości opłacić nie mogąc, musiał z konfederacyami nieustannie się układać i niemal na ich łasce byłaby Rzeczpospolita, gdyby ją nieprzyjaciel zaskoczył, bo wojsko nie myślało się ruszyć, pókiby zaległości nie otrzymało.

Nie o pieniądz szło w tych związkach dla tych, co głębiej widzieli rzeczy i ich następstwa. Obawiano się rokoszów dawnych, a żołnierskie związki pod innem imieniem i formą niczem nie różniły się od nich. Wojsko stawiło się przeciwko władzy i, jak z nieprzyjacielem trzeba się z niem było umawiać. Przychodziło do tego, że z żołnierzem już rozmówić się było trudno i podskarbi musiał zakonników używać, aby się porozumieć i ułożyć ze związkowymi.

Moskwa, dopominająca się zamków, wymagająca niszczenia skryptów czci cara uwłaczających, Kozacy za nią zdala, a naostatek żołnierz nie płatny i coraz butniejszy—wszystko to nie dawało spokoju królowi; lecz Jan Kazimierz miał ten temperament szczęśliwy, który mu nie pozwalał niczem długo się męczyć, najmniejsze fraszki odrywały go od najważniejszej sprawy, jeżeli ona w pewnej odległości się ukazywała. Troski więc przypadały na królową raczej, a król jmość rad sobie wszystko różowo malował.

Cały ten rok nieustawały układy z Moskwą, i targi z wojskiem, które tem pilniej zakończyć było, że z Zaporoża już dochodzące wiadomości przewidywać nakazywały nieuchronną rozprawę z Kozactwem.

Królowej była walka prawie pożądaną, dla męża. Roiła ona zawsze ogromne, stanowcze świetne zwycięztwo, pogrom, któryby J. Kazimierza postawił na wyżynie.. i okrył laurami. Wszystkie starania ku temu były skierowane, aby to wystąpienie uczynić, nie jak pod Zborów, bezsilnem i wątłem, ale potężnem i zwycięzkiem. Na czarnej chmurze, zwiastującej już nadchodzące gromy i wichry... dziwnie zarysowują się drobne wypadki, które w przyszłości miały urosnąć do historycznego znaczenia...

Jakim sposobem Bertoni potrafiła się wśliznąć do pałacu, Kazanowskich niegdyś, a teraz podkanclerzego Radziejowskiego, odgadnąć trudno. Prawdopodobnie z dawnych czasów miała tam jakieś stosunki, a że król się mocno zajmował losem samej podkanclerzyny, Włoszka zawiązała tu stosunki, aby w ten sposób usługując królowi, łaskę jego sobie pozyskać i wstęp otworzyć.

Małżeństwo zaledwie zawartem zostało, gdy wieści chodzić zaczęły, iż zachodziły nieporozumienia. Nikt temu z początku nie chciał dawać wiary, wistocie jednak ani piękna pani Elżbieta, ani despotyczny i natrętny podkanclerzy stworzonymi dla siebie nie byli, ale zapóźno to spostrzegli.

Sama pani za życia powolnego i rozmiłowanego w niej męża nawykła była do postępowania, jak się jej podobało. Radziejowski chciał ją mieć narzędziem posłusznem dla swych widoków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w Kwietniu 1886 r.

Dzienniki i kalendarze zapowiadały nam na rok obecny długi karnawał, przypominając miłośnikom zabaw, iż tak szczęśliwa sposobność wytańczenia się nieskończenie długiego, jak obecnie zaiste, nieprędko miejsce mieć może, bo dopiero tam kiedyś—w XX stuleciu. Głos dziennikarski nie poszedł tym razem zupełnie na marne... Słuchano go uważnie i—zapamiętano... Długo, a ochoczo bawiono się, chociaż mniej było balów, mniej świetnych zabaw, mniejsza ciżba z poza kordonu śpieszących, by tańczyć, szaleć w murach naszego miasta. Jeżeli niejakie wstrzymywanie się od zabaw zaznaczyć można, jeżeli pod tym względem była jaka cnota—to cnota z konieczności. Środków materyalnych brak niemały... Zwykle przybysze zpoza wschodnich kordonów dostarczają kontygensu tłumnego tancerzy i środki materyalne z sobą przywożą. Obecnie, od paru już lat, mniej do nas przybywają ztamtąd

wyłącznie w celach bawienia się; ciężkie przesilenia w rolnictwie i przemyśle naszego zakordonowego południa jest tego główną przyczyną. A to nasze południe, czarną glebą sławne, secinami kominów cukrowni najeżone, bardziej niż można przypuszczać na życia naszego tu warunki oddziaływa. W tym roku więcej, niż kiedy uczuć się to daje. Kupcy, magazyny, hotele, modniarki smutnie potrząsają głowami: zapewne, zawód niemały; ale poważniejsze warstwy społeczne wcale się tem nie smucą. Czas też, i wielki, trochę spoważnieć, fale wirów tanecznych do właściwego nurtu sprowadzić, zalały one bowiem zbyt błonia myśli naszej, a spadając, nawet mogą muł zostawić na błoniu i wstrzymać temsamem rozwój, i szlachetniejszej myśli, i podnioślejszego uczucia. Na nieszczęście, pozostaje już nawet ten osad. Muł, powstały z tanecznej fali, zajaławia myśl również dobrze tancerek, jak i tancerzy. Ci ostatni, redagując dzienniki, wir tancerzy umieją apoteozować, czynić zeń turniej polityczny, walkę przekonań, demonstracyą kierunków polityki. Takiemi śmiesznostkami poważne tu dzienniki zaprawiały wieści o balu polskim w Wiedniu, szukając tam w Wiedniu czegoś, co przekracza zwykłą sferę każdego balu. W zapale zapominano, że przyszłość nie wytwarza się na posadzkach, w wirze tanecznym, że ten lub ów uśmiech sfer decydujących może niekiedy mieć wpływ na los jednostek, ale nigdy nie zbuduje lepszego jutra dla społeczeństw. Społeczeństwa upadają własną winą—i dźwigają się skutecznie jedynie własną pracą, cichą, żmudną, wytrwałą, pracą obliczoną na lat dziesiątki, wolną od rozgłosu i snującą swe dni wśród szarej, życiowej powszedniej roboty...

Dzielnica nasza posiada znacznie więcej niczem nieskrępowanej możności, a nie mniej, niż gdzieindziej, potrzeby tej pracy skrzętnej, cichej, drobnej napozór, a wśród szarej prozy życia prowadzonej... Przyszłość wskaże, czy rozumieliśmy chwili doniosłość, czy korzystaliśmy z możności umiejętnie, a zapobiegliwie. Praca, aby była owocną, połączona jest zwykle z ofiarą. Im większa ofiara tem donioślejszemi owoce pracy, tem obfitsza ona w następstwa.

Okres postu nie był u nas pozbawiony roztargnień, gdy roztargnień kto potrzebuje. Mieliśmy koncerta i teatr, a wreszcie mieliśmy i możność czegoś się nauczyć na odczytach, których serya dość długa była i dość urozmaicona. O teatrze tutejszym powiem innym razem. Słówko natomiast rzucę o odczytach.

Odczyty obecnie tak liczne były, iż sezon karnawałowy mógł się poczęści mienić sezonem odczytów. Oile ubiegła zima posiadała ich niewiele, a nawet wcale, rzec można, nie miała, otyle obecnie posiadąliśmy ich podostatkiem, i jeszcze jest nieco zapowiedzianych, a mianowicie od miesiąca jest zapowiedziany odczyt prof. Stanisława Tarnowskiego o zmarłym Sadyku Baszy, (M. Czajkowskim), a raczej o jego literackiej działalności. Będzie to zapewne studyum ze zwykłym temu prelegentowi artyzmem opracowane. Rzecz oddawna zapowiedziana odkładać się musiała z przyczyny choroby prelegenta.

Oprócz odczytów dla ogółu o szerszych horyzontach myśli były wykłady przeznaczone dla ludu wyłącznie. Jak tu, w mieście, w pierwszym szeregu słuchaczy tych popularnych wykładów powinnaby była stać młodzież rzemieślnicza, z warsztatów, młodzież z przemysłowych zakładów. Doświadczenie wszakże wskazało, że ci ostatni, dla których głównie przedsiębrano wykłady, nie stawili się na nie... Zaznaczam ten smutny objaw wystrzegania się światła, gdyż niewiasta nasza może wpłynąć niemało na rozbudzenie uśpionych mas rzemieślniczych. Do pracy cichej, długiej, wytrwałej pole obszerne; oby je zużytkować umiano, a przedewszystkiem chciano...

Zima sroga, później, jak zwykle, wypuściwszy nas ze swej nader twardej w tym roku opieki, ustąpiła swe miejsce dniom dość ciepłym. Rozpoczynająca się wiosna budzi nadzieję, iż przez miasto nasze przeciągać zaczną wkrótce goście z dalszych okolic kraju, dążący bądź dalej na Zachód, a tylko skrzydłem zawadzający o stare mury nasze, bądź też wprost do nas przybywający, aby się bliżej zapoznać z pamiątkami przeszłości, tu obficie rozsianemi...

Ktoś mający czas potemu mógłby ciekawe studya robić, wpatrując się w długie szeregi wędrownych tych ptaków, co się przesuwają przez ulice grodu naszego. Ołówkiem, czy też piórem naszkicowane kontury owych typów miałyby wartość wybitną.

Jedni dążą z zaciekawieniem, jak do wielkich stolic, do ubożuchnego i maluczkiego Krakowa, i dziwią się, że nie przypomina on ani rozmiarami, ani gwarem, ani też świetnością nawet drugorzędnych stolic Zachodu, inni ciekawością wiedzeni, są znowu wyłącznie żądni artystycznych wrażeń; dla wielu przybycie do Krakowa, to wejście na pole archeologii, lub możność czynienia poszukiwań w archiwach i bogatych tutejszych bibliotekach; poza tymi wszystkimi dopiero stoją ci, co z prawdziwie religijnym pietyzmem zbliżają się do murów prastarego grodu.

Zastęp owych ostatnich szczupły i dziwnie różnobarwny. Lud szlązki i poznański dostarcza niejednego szeregu do pomienionego zastępu. Chłop z Poznańskiego, od Warty i Noteci, pilniej od innych zwiedza zabytki miasta i skrzętnie zapisuje w pugilaresie każdy ciekawszy szczegół, który zwrócił jego uwagę, bądź w katedrze na Wawelu, bądź wśród ich dawnego zamku, a dziś koszar wojskowych.

Patrząc na świadome swego „ja“ społecznego sukmany poznańskie, doznaje się wrażeń pewnej otuchy, iż roboty germanizmu nie tak łatwo pójdą, jak mniemają niemieccy szowiniści w Berlinie. Nie jeden zapewne ząb hydry germańskiej skruszy się o tę świadomość myśli siermiężnej rzeszy nad dolną Wartą i na dolnem Powiślu.

Świadomość swego „ja“ wśród ludu poznańskiego nie przyszła jednak bez pracy, niespodzianie nie powiała, jak wicher, nad starą Polan dzielnicą: uczyniła to praca, a wśród szeregów bojowników pracy, wśród sojuszu szkoły ludowej, plebanii, dworu, kółek rolniczych, kobieta uczyniła bardzo wiele. Z jej wpływem cichej a podniosłej obywatelskiej działalności liczą się nawet potęgi świata... Bismarck bowiem z wysokości trybuny, ze szczytu swej przewagi, woła iż zabroni swym Niemcom z Polkami się żenić, znać się obawia tej mrówczej, niewieściej pracy, oświeconej pochodnią obowiązku.

Telegraf zaniósł ustępy mowy ministra przemożnego w sferach polityki świata—poza ocean; i oto czytamy w amerykańskich gazetach ogłoszenie z Nowego Jorku, jakiegoś bogatego kupca, iż posiadając znaczny majątek i trzech synów, chciałby każdemu z nich dać Polkę wypędzoną z Poznańskiego za żonę... Przymioty niewiast naszych, które burzą krew niemieckiemu kanclerzowi i spać mu nie dają, wywołują podziw świata... oby one wistocie na każdym polskim zagonie spotykały się, oby je widziano w rzeczywistości, nie w dzienniku, nie w książce, lub w rozgorzałej namiętnością mowie niemieckiego ministra!

Powróćmy jednak na chwilę do wędrowców zwiedzających nasze miasto.

W szeregach tych, co z pietyzmem zbliżają się do zabytków naszej przeszłości, nader przyjemnie było nam spotkać cudzoziemkę z pochodzenia, a myślą i sercem rodaczkę naszą, która nie w młodym już wieku przedsięwzięła podróż znaczną i kosztowną, pielgrzymkę z Paryża do Krakowa i dalej ponad górny Dniestr, jedynie w celu oddania hołdu ziemi, która była ziemią rodzinną jej męża zmarłego. Mówimy tu o p. Nabielakowej wdowie po znanym L. Nabielaku. Zwiedziła ona z godnym podziwu pietyzmem wszystkie te miejsca, gdzie stąpała ongi stopa jej męża, znać bardzo ukochanego i cenionego. Była tam, gdzie ujrzał on światło dzienne, gdzie do szkół uczęszczał przed kilku dziesięciu laty, gdzie wreszcie spędzał w dniach najwcześniejszej młodości chwile szkolnego wypoczynku. Zanim wszakże udała się do owych miejsc drogich, zwiedziła Kraków, aby się przejąć tą wspomnień atmosferą, która ją ściślej jeszcze połączyć miała ze wszystkiem, co drogiem było dla jej zmarłego męża, acz ściślejsze węzły tu zbyteczne: pani ta, chociaż we francuzkiem gnieździe świat ujrzała, sercem, myślą zespolona jest z ojczyzną śp. męża...

Pani Nabielakowa, odbywszy pielgrzymkę do miejsc drogich dla tych, których kochała, wróciła do Paryża.

Wspomniałem tu o jednej tylko postaci z owych szeregów pielgrzymów, co długiem korowodem, szczególniej w miesiącach letnich, przez nasze miasto przeciągają, postać to niewieścia niepowszednia... Teraz, gdy skorupa obojętności na wiele serc pada, niezbyteczną rzeczą przypominać, co wzniosłe, co nad bagniska zwątpienia i zmateryalizowania wyrasta...

NAJNOWSZE WYNALAZKI I ODKRYCIA NAUKOWE.

Nowy proces Pasteur'a w leczeniu wścieklizny. —Próby odbyte na źwierzętach i na człowieku.—Wścieklizna zwyciężona. — Co się mieści w powietrzu.—Materyał opałowy w przyszłości.—Roślina mięsożerna.—Co pozostaje do zbadania. — Protest Bert'a przeciw doświadczeniom nad ściętymi przestępcami.—Alkaloid choleryczny.—Droga żelazna powietrzna.—Studnie barometryczne.—Źródło atramentu. Rzeka olejna. — Gołębie wędrowne do posług armii w przesyłaniu depesz.

Sześcioletnie, mozolne, trudne i niebezpieczne poszukiwania Pasteur'a uwieńczone wreszcie zostały najzupełniejszem powodzeniem. Wścieklizna, ta straszliwa plaga ludzkości, jest zwyciężoną; znakomity fizyolog nietylko przez szczepienie zarazka jadowitego zabezpiecza dziś od ewentualnych następstw przed pokąsaniem przez źwierzęta wściekłe, ale nadto powstrzymuje rozwój choroby po pokąsaniu i niszczy doszczętnie jej zarodek w organizmie. Już w roku ubiegłym wszystkie pisma publiczne obwieściły światu o tem wiekopomnem odkryciu uczonego Francuza; był to jednak dopiero pierwszy krok jego na tej drodze, nieprzedstawiający ani środka stanowczego ani szybkiego. Dziś kwestya jest rozwiązaną. Pasteur wykrył nowy proces zapobiegający całkiem wściekliźnie, zastosował go do leczenia psów, a następnie do ludzi, i pozyskał zdumiewające rezultaty.

Wypada nam zapoznać się bliżej z jego metodą. Jeżeli psu wściekłemu za pomocą trepanacyi (wywiercenia otworu w czaszce) wydobędziemy cząstkę mózgu i wprowadzimy ją do krwi królika za pośrednictwem *szprycy Pravaz'a*, to królik ulegnie wściekliznie po piętnastu dniach od chwili zaszczepienia mu jadu. Gdy następnie strepanujemy tego wściekłego królika i wprowadzimy jego zakażony mózg do krwi drugiego królika, ten ostatni wścieknie się już w krótszym upływie czasu. Odbywając znowu trepanacyą na tym drugim króliku i wprowadzając cząstkę jego mózgu do krwi trzeciego królika, w tym rozwiniemy wściekliznę jeszcze prędzej.

Po każdem zatem szczepieniu zarazka czas rozwoju choroby zmniejszy się, a siła jej symptomatów się zwiększy. Zwykle po dwudziestu pięciu po sobie następujących szczepieniach, to jest, na dwudziestu pięciu królikach, przejaw wścieklizny następuje po upływie ośmiu dni. Po przeniesieniu zaś zarazka szczepnego na pięćdziesiątego z kolei królika, wścieklizna występuje dnia siódmego, dochodząc do swego maxymalnego stopnia. Po przeszczepieniu zarazka tą drogą na dziewięćdziesiątego z kolei królika, mózg jego będzie jeszcze energiczniejszym rozsadnikiem wścieklizny, gdy jednak z tego mózgu odejmiemy cząstkę na długość kilku centymetrów i pomieścimy ją w powietrzu suchem, jad zwolna będzie znikać i w końcu nie przejawi nawet śladu.

Otoż owe szczątki mózgu jadowitego, wyschłe w powietrzu, są czynnikiem ochronnym, którym posługuje się Pasteur dla zapobieżenia rozwojowi wścieklizny w człowieku i źwierzętach. Szczątki te rozpuszczone w wodzie a raczej we wrzątku i wtryśnięte do krwi źwierzęcia pokąsanego przez psa wściekłego, zabezpieczają od choroby, jeżeli szczepić będziemy zarazki coraz jadowitsze.

Z przygotowaniem ich Pasteur postępuje w ten sposób:

W seryi flakonów, w których powietrze utrzymuje się w stanie suchości za pomocą bryłek potażu, zawiesza on codziennie cząstkę mózgu z królika padłego wskutek wścieklizny, silnie rozwiniętej po upływie siedmiu dni od chwili zaszczepienia. Codziennie też wstrzykiwa pod skórę psa zapomocą szprycy Prawaz'a roztwór z rozpuszczonym zarazkiem jednego z tych mózgów, poczynając od mózgu z najsłabszym numerem porządkowym, to jest zebranego najwcześniej, który-to mózg nie jest w całości jadowitym. W następnych dniach odbywa podobną operacyą z mózgami w czasie późniejszym pozyskanemi, a to przerwach dwudniowych, i powtarza ją dopóki nie dojdzie do ostatniego mózgu, w najwyższym stopniu jadowitego, pomieszczonego przedtem na jeden dzień lub dwa we flakonie.

Pies wówczas jest zabezpieczonym od wścieklizny. Wskutek zastosowania metody szczepienia zarazków coraz jadowitszych, Pasteur *wyleczył pięćdziesięciu psów, na żadnym nie doznając zawodu.*

Po pozyskaniu tak szacownego rezultatu, Pasteur mógł już zastosować swą metodę do człowieka, gdyż nie miał ani jednego wypadku, aby ta okazała się nieskuteczną.

Z pewnym jednak niepokojem oczekiwał sposobności zużytkowania swego odkrycia na człowieku. W tym stanie rzeczy 6 Lipca r. z. doniesiono mu, że dziewięcioletni chłopczyna, Józef Meister przed dwoma dniami pokąsanym został przez psa wściekłego. Rany wypalono mu w dwanaście godzin po wypadku, kwasem fenilowym. Według opinii lekarzy Vulpian'a i Grancher'a liczne i głębokie rany groziły chłopcu nieuniknioną śmiercią; wówczas to Pasteur zdecydował się spróbować na nim skuteczności owej metody. Nadmienić tu winniśmy, że Pasteur otrzymał zarazki szczepne także i dla źwierząt jeszcze nie pokąsanych, którym zagrażała wścieklizna. Szóstego Lipca, po upływie sześćdziesięciu godzin od pokąsania Meistera, wstrzyknięto mu pod skórę w okolicy prawego podżebra (hypochondria) za pomocą szprycy Prawaz'a zakonserwowaną od 15 dniw sposób wyżej podany cząstkę mózgu, pochodzącego z królika wściekłego. Operacya odbyła się w obecności lekarzy Vulpian'a i Grancher'a.

Szczepienie zarazka powtarzano do 16 Lipca, z mózgami coraz jadowitszemi, trzynaście razy.

Z obserwacyi poczynionych w tymże czasie nad królikami okazało się, że na trzynaście zarazków użytych do szczepienia sześć tylko ostatnich było w wysokim stopniu jadowitych.

Po upływie czterech miesięcy od wypadku zdrowie Józefa Meistera nie pozostawiało nic do życzenia; czternaście ran, jakie poniósł chłopiec, zabliźniło się bez żadnych złych następstw.

Dwudziestego Października r. z. Pasteur szczepił zarazek piętnastoletniemu chłopcu Janowi Jupille, pastuszkowi z gminy Villeres-Farlay (Jura), pokąsanemu przez psa wściekłego w obie ręce przed sześciu dniami.

Chłopiec ten złożył dowód nieustraszonej, bohaterskiej odwagi. Spostrzegł on w polu psa podejrzanej postaci, rzucającego się na gromadkę złożoną z sześciorga dzieciaków, młodszych od Jupille'a; wówczas, mając jedynie za całą broń bicz w ręku, śmiało stawił czoło rozżartemu źwierzęciu. Pies schwycił go zębami za lewą rękę, lecz chłopak w tejże chwili powalił go, rozdarł mu gardziel prawą ręką dla oswobodzenia lewej, i pomimo głębokich bolesnych ran, jakie mu w tej walce pies zadawał, skrępował mu paszczę biczyskiem i ubił na śmierć swym drewnianym sandałem.

Pomimo spóźnionego ratunku, Pasteur wyleczył zupełnie chłopca. W chwili, gdy to piszemy — Pasteur wyleczył 695 osób; coraz więcej ofiar napływa do jego zakładu.

Metoda Pasteura zasadza się na stopniowem nasycaniu organizmu jadem wścieklizny z energią ciągle wzrastającą. Ostatni a zarazem i najjadowitszy szczep, wprowadzony do krwi człowieka lub źwierzęcia pokąsanego przez psa wściekłego za poprzedniem szczepieniem całej seryi zarazków coraz jadowitszych, zabezpiecza od wścieklizny, podobnie jak krowianka od ospy.

Sprawozdanie z metody leczniczej, odczytane przez Pasteur'a w auli Paryzkiej Akademii Nauk d. 26 Października roku ubiegłego przyjęte zostało burzą oklasków, wpośród ogólnego niedającego się opisać, wzruszenia.

Professor Vulpian w gorących słowach złożył słynnemu fizyologowi dziękczynienia w imieniu Akademii i kraju.

W Akademii Medycznej spotkała Pasteur'a podobna owacya.

Wścieklizna dziś jest dzięki Pasteurowi wyleczalną. Uczony odkryciem swem wydarł nieohybnej śmierci setki tysięcy ludzi. Obecnie poszukuje środka leczenia suchot i błonicy.

* * *

Niezależnie od gazów składających naszą atmosferę, w szczególności azotu, tlenu i kwasu węglanego, wiele innych materyi w ilościach bardzo małych w niej się mieści. Chairy w wodzie deszczowej w Algerze wykrył obecność soli morskiej w ilości 2 do 5 centygramów w jednym litrze płynu. Oprócz tego woda ta zawierała w sobie żelazo w stanie półtora tlenku lub węglanu w stosunku dochodzącym 4 miligramów w jednym litrze wody. Obecnie Muntz i Aubin wykryli w powietrzu gazy węglowe palne, w ilości sto razy mniejszej od normalnej ilości kwasu węglanego, istniejącego w naszej atmosferze. Zachodzi pytanie: czy powierzchnia ziemska nasyca się do nieskończoności temi związkami; coby ją w końcu doprowadziło do przetworzenia się zupełnego, ze względu przechodzenia kwasu węglanego w gazy niezdolne do utrzymania życia organicznego; czy też istnieje jaki czynnik, powstrzymujący w ten sposób to gromadzenie się w atmosferze ciał obcych, że owe gazy węglowe przetwarzają się w kwas węglany, za wpływem tego czynnika. Otóż w rzeczy samej taki czynnik istnieje; jest nim iskra elektryczna przebiegająca przez niższe warstwy, jak to najwidoczniej przejawia się pod zwrotnikami. Jednem słowem prądy elektryczne nie dozwalają węglowi osadzać się w powietrzni, gdyż przetwarzają go w kwas węglany.

* * *

Uczony włoski, Vecchi, w dzienniku *Rivista marittima*, podał piękny i obszerny artykuł, w którym dowodzi, że w skutek nieuniknionego wyczerpania się węgla kamiennego, zwłaszcza w Anglii, materyałem opałowym w przyszłości będzie nafta.

W r. 1863 Armstrong oceniał na 80 miliardów beczek massę rozrządzalną węgla w Wielkiej Brytanii, obliczając, że ilość ta wystarczy w tym kraju na lat dwieście; Jevonas wszakże wykazał, że przemysł zużywać będzie corocznie 2 miliardy beczek materyału opałowego w ciągu stu lat, a temsamem, że owiele wcześniej przed tym upływem czasu wszystkie kopalnie angielskie węgla zostaną wyczerpane. W takim stanie rzeczy wyznaczono komissyę, której zadaniem było oznaczyć głębokość do jakiej kopalnia może być exploatowaną, ocenić zasoby znanych dotąd kopalni oraz ilość węgla, jaki mógłby być zużytkowanym.

Z poszukiwań tej kommissyi okazało się, że głębokość pokładu węgla, możliwa do exploatacyi, nie może przechodzić 1200 metrów, a ilość ogółową tego materyału opałowego oszacowano na 90 miliardów beczek w trzech zjednoczonych królestwach Wielkiej Brytanii. Możnaby znaleźć jeszcze 7 miliardów beczek poza głębokością 1,200 metrów, coby wynosiło razem około stu miliardów beczek. Wszelako inżenierowie angielscy zasoby węgla krajowego oceniają na 200 miliardów beczek, biorąc w rachubę pochyłość warstw i inne danne geologiczne.

Wypływałoby ztąd, że maxymalny czas w jakim ta masa węgla doszczętnie byłaby zużutkowaną, nie przechodziłby czterystu lat. Z tytułu tego Battandier, który obliczenie to zamieścił w *Cosmos*, wnioskuje, że po upływie czterech wieków Anglia przestanie być potęgą handlową.

Oddawna we Francyi próbowano zastąpić węgiel naftą w machinach parowych, a w ostatnich czasach podobne próby odbywano i w Anglii. W 1880 roku mały parowiec *Billi-Collins* żeglował po Tamizie, opalany naftą, według systemu wynalezionego przez dyrektora zakładu *Hydrocarbon gaz Company*. Doświadczenia powiodły się najzupełniej, kwestya została rozwiązaną. W Ameryce otrzymano podobne rezultaty. W Bostonie pompa pożarna poruszana za pośrednictwem nafty zawsze pierwsza rozpoczynała gaszenie ognia. W Pensylwanii system opalania parowozów naftą okazał się wielce ekonomicznym, gdyż jak wiadomo, kraj ten jest najzasobniejszym w ten materyał opałowy. W jednych przyrządach płyn ten spływa do ogniska po tafli opatrzonej otworami przepuszczającemi powietrze, w drugich zaś przetwarza się, za pomocą ciepła, w gaz spalany w kotłach. Wreszcie w roku ubiegłym odbywano w Marsylii próby opalania parowców naftą. W ciągu godziny zużyto 115 kilogramów nafty, w którym to czasie spala się zwykle 201 kilogramów węgla, oszczędność przeto przy użyciu nafty jest widoczną.

Źródła nafty istnieją w Baku, w kraju tym nafta jest wyłącznym materyałem opałowym, z którego każdy mieszkaniec użytkuje. Parowce na Morzu Kaspijskiem opalane są tymże palnym płynem. Zużywa się go na godzinę na jednego konia parowego tylko $4\frac{1}{2}$ funty, gdy przedtem węgla zużyć było potrzeba w tejże jednostce czasu i siły, blizko 11 funtów.

Korzyści z nafty osiągane są liczne, zwłaszcza w marynarce.

Beczka węgla reprezentuje prawie podwójną objętość w porównaniu z beczką nafty, daleko też mniej nafta zajmuje miejsca, niż węgiel, a przy zachowaniu pewnych ostrożności nie potrzeba się pożaru tego płynu obawiać. Obsługa przy użytkowaniu z nafty mniej jest liczną, gdy jedna pompa poruszana przez machinę może zastąpić wielu palaczy. Wreszcie nafta jest wolną od siarki, nie uszkadza ścian kotłów i nie zanieczyszcza rur. Dodać potrzeba też, że statek opalany naftą nie wydaje takiej chmury dymu, jak zwykły parowiec, a temsamem w czasie wojny nie zdradza swej obecności.

Z doświadczeń odbytych w Rossyi wypływa, że użytkując z węgla, korzystamy tylko z 60% wytworzonego przezeń ciepła, używając zaś nafty pozyskujemy 90% wywiązanego ciepła.

Doświadczenia Sainte - Claire Deville'a, odbywane z polecenia cesarza Napoleona III, w celu poznania wartości nafty jako materyału opałowego, okazały, że jeden kilogram nafty zamieniał w parę 15 kilogramów wody, gdy tymczasem tejżesamej wagi węgiel z kopalni Cardiff, przetwarzał w parę tylko 8 kilogramów wody. Dlaczego dotąd, pomimo tylu widocznych korzyści, nie rozpowszechniło się użycie nafty, jako materyału opałowego? Na to pytanie łatwa odpowiedź; potrzeba bowiem byłoby w takim razie, zmienić przyrządy ogrzewawcze i nadać im bieg inny; zresztą źródła nafty są zbyt odległe od ognisk przemysłowych i wogóle cywilizacyjnych. W *Oil-Creek* za 100 kilogramów nafty płaci się $7\frac{1}{2}$ franków sto kilogramów zaś nafty amerykańskiej z cłem, przewozem itp., kosztuje w Europie 32 franki, co wyrównywa prawie wartości beczki węgla z celniejszych kopalni.

Gdy w Europie wykryte zostaną liczne i bogate źródła nafty, ta niewątpliwie z czasem wyruguje węgiel i z korzyścią zastąpi jego miejsce, z chwilą zaś wyczerpania się zupełnego węgla potrzeba będzie nieuchronnie sprowadzać naftę z dalekich stron jej źródłowych. Czy jednak ilość jej odpowie wymaganiom przemysłu? to kwestya, która wtedy dopiero rozstrzygniętą być może, gdy poznamy całą rozległość źródeł tego szacownego płynu.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Kwietniu 1886 r.

Nowa powieść p. Zoli: „Dzieło.'—Nowa komedyu Oktawjusza Feuilleta „Chamillan.'"

Nie wiele tu jest książek nowych, coby zasługiwały na zapisanie ich, na tych kartkach i w pamięci czytelniczek naszych. Dla tego właśnie, że dla czytelniczek się mówi, potrzeba trzy razy przynajmniej, jeżeli nie siedm, obrócić pióro w palcach, a tutaj, gdzie tak mało piszący zwracają uwagi na przyzwoitość — gdzie się tak mało troszczą o to, co jest, a co nie jest *schocking*, potrzeba być niezmiernie ostrożnym i chwalić lub ganić tylko to, co zasługuje na jedno lub na drugie. Radykalnie i z zasady, wymazałbym z regestru całą belletrystykę francuzką — bo nic wstrętniejszego dla mnie nad to, co tu służy za kanwę do każdej powieści, nawet pisarzom, którzy nie należą do szkoły Medańskiej.

Otóż właśnie leży przed nami nowa powieść samego koryfeusza tej szkoły, nie ocenionego p. Zoli! Musimy poświęcić słów kilka tej książce, aby wyświecić raz jeszcze, jakie to są zasady, z których wychodzi autor, aby dać czytelnikom swoim niby prawdziwy i rzeczywisty obraz tego, czemu poświęca swe studya; dowiemy się bowiem, że w tej prawdomówności autora, jak w sklepie winiarza, nie trzeba się pytać: Czy dobre wino? — bo naturalnie odpowie bez najmniejszego wahania się, że „doskonałe."

„L'Oeuvre" *Dzieło*, taki jest tytuł nowej powieści p. Zoli. Jako powieść, wątpię, aby ona znalazła wielkie powodzenie u naszych szczególnie czytelników, dla których całe to życie artystycznej cyganeryi paryzkiej jest rzeczą zupełnie obcą. Jest to studyum, a raczej doskonała fotografia tej klassy wpośród niej, z której się składa niedowarzone piwo artystyczne. Klaudiusz Lantier, bohater powieści, jest to jeden z tych impressionistów, co to, nie mając dosyć nauki i wprawy technicznej, probują w niedobrych pokuszeniach przenieść i wyrazić na płótnie cały ten bezład, cały chaos, wypełniający słabą ich głowę. Dodajmy tutaj, że ten Lautier jest to upoetyzowany, pomimo całego naturalizmu, wizerunek przyjaciela p. Zoli, niedawno zmarłego impressionisty, mularza Manet'a. Pamiętają tu wszyscy dziwolągi tego artysty, który, mając więcej wyobraźni, niż wiedzy i techniki, upadł pod ciężarem nieudolności swojej.

P. Zola, dla utworzenia „Dzieła," wprowadza do pracowni malarza i w życie artysty miłość w postaci Krystyny. Znajomość, rozpoczęta sielanką, kończy się, jak można było przewidzieć... czem się kończą tutaj wszystkie powieści. Ale głównem zadaniem tej książki było — jakeśmy mówili — pokazać tę walkę nieudolności z wymaganiem i trudnościami sztuki.

Lantier, którego malowideł nikt nie chce za darmo nawet, któremu odmówiono nawet wstępu na wystawę odrzuconych (réfusés), przygotowuje obraz na wystawę, mającą się otworzyć i nie znajduje odpowiedniego modelu. Krystyna, jeszcze nie związana żadnym z nim stosunkiem, patrzy na te jego męczarnie—i przystaje być tym modelem, co naturalnie prowadzi do reszty. Ale to poświęcenie nie może zbawić nieudolnego artysty. Po nowych próbach i zawodach, napojony goryczą życia i pogardy ludzkiej, widząc, że dla czczej mary poświęcił szczęście, wolność, fortunę, żonę i dzieci, aby obojętna tłuszcza samolubów mogła się naśmiać przed jego obrazami—bo jej nie chodzi o to, coś ty usiłował zrobić, człowieku — ale o to, coś ty zrobił! Lantier w rozpaczy wiesza się i kończy samobójstwem to życie wykolejone i stracone.

Opowiadanie p. Zoli o tych walkach i boleściach biedaka Lantiera — nieraz porusza serce czytelnika; ale brudna, rozpustna strona może i prawdziwa, tej powieści, nie pozwala i najlepszych kartek przełknąć bez odrazy. Zawsze tensam sposób brutalny i nieprzyzwoity—co znamionuje naturę powszednią i gburowatą.

W teatrze francuzkim przedstawiono 9 b. m. komedyę w 5 aktach p. Oktawiusza Feuilleta, p. t. *Chamilac*. Sztuka nie bez zalety i wartości, ale zawiła w swej expozycyi, otrzymała przyjęcie dość zimne,—jak tu nazywają *szacunku* (d'estime).

Autor *Umarłej* chciał być zbyt wyszukanym, i zbyt przeciągnął strunę, w następny sposób. W życiu bohatera, *Chamillaca*, jest tajemnica, o której nikt nie wie, autor zachował ją umyślnie, aby w 5-ym akcie wybuchła, jak wulkan. Niestety! dla publiczności teatralnej zapóźno!

Ta tajemnica jest następująca: Chamillac, będąc młodym oficerem, zgrał się w karty, i nie mając czem zapłacić, ukradł u swego generała, którego był adjutantem, 15 tysięcy franków. Generał, złapawszy go na uczynku, daje mu kwadrans czasu, aby sobie w łeb strzelił, inaczej pod sąd! Chamillac otrzymuje pozwolenie zginąć na polu bitwy w wyprawie na Kabylów, dokazuje cudów waleczności, ranny śmiertelnie, otrzymuje przebaczenie generała i opuszcza służbę. Odziedziwszy wielką fortunę po stryju, poświęca się cały sprawom dobroczynności.

Po latach dwunastu, zaczyna się sztuka. Chamillac, zamożny, przez pokorę otacza się złodziejami i łotrzykami, których ratuje z toni! W tej liczbie jest figurantka z opery Zosia Ledieu, ta pośliznąwszy się, opuszczona od zwodziciela, staje się jego pupilą, a w końcu i narzeczoną. Ale że dyabeł nie śpi, Chamillac zakochał się w ślicznej wdówce, p. de Tryas, córce właśnie generała z którym miał ową rozprawę o pieniądze. Nowa więc tajemnica, i dla publiczności, i dla figurantki, która przez zazdrość zaczyna wyprawiać Chamillacowi niesłychane sceny. Ale i pani Tryas jest narzeczoną jakiegoś majora p. d'Illiers; tajemnice bez końca! A na domiar wszystkiego, oto syn generała, a brat p. de Tryas, zgrał się i nie ma czem zapłacić, i komuż właśnie? oto Chamillacowi!

Ten, pomimo całej swej filantropii, okazuje się tak twardym i nieużytym, że młody generałowicz chce się zastrzelić, a pani de Tryas, aby go ratować, jedzie z wizytą do Chamillaca. Tu ją zastaje narzeczony; scena, złamanie, pojedynek. Chamillac jest ciężko raniony. Widocznie nie ma szczęścia do kuli! Ale p. de Tryas, zrywa z majorem i Chamillac, wracając do zdrowia, zamyśla połączyć swe losy z wdówką, bo Zosia, poruszona sumieniem, oddała mu niegdyś przez pomyłkę wyrzeczone słowo.

Teraz dopiero, w piątym akcie, kiedy i p. de Tryas zgadza się przyjąć rękę Chamillaca, zjawia się nieunikniony generał jej ojciec. Obyczajem wojskowym, zabiera córkę, ale, aby nie zostawić żadnej nadziei powrotu, zmusza Chamillaca, aby ten sam, własnemi ustami w jego obecności opowiedział p. de Tryas to, cośmy wykryli na początku. Chamillac czyni zadosyć w całej pokorze. Po skończeniu tej smutnej narracyi, p. de Tryas powstaje, idzie wprost do Chamillaca i tak mówi:

— Mój ojciec uczynił mnie sędzią; panie, podnieś czoło i daj mi twą rękę!—Pokuta jest zupełna—dodaje generał,—mój synu, zachowaj rękę twej żony."

Wtem streszczeniu opuściłem naturalnie wiele szczegółów i scen, które zapełniają próżnię rozmaitych kątów scenicznych, ale nie są koniecznie potrzebne, dla samej w sobie komedyi. Jakże się wam wydaje? czy miała słuszność publiczność przyjąć tę sztukę, z szacunkiem, ale bez zachwytu? Ja na jej miejscu możebym surowiej postąpił!

Y

Kronika działalności kobiecej.

— W Sandomierzu obchodzoną była wzruszająca a rzadka uroczystość: pięćdziesięcioletni jubileusz pracy i Chrystowej służby Siostry Miłosierdzia, Maryanny Perłowskiej, przy tamtejszym szpitalu S-go Ducha. W dzień jubileuszu odprawiono uroczyste nabożeństwo w kościele Ś-go Ducha, poczem zarząd szpitala ofiarował jubilatce piękny obraz Matki Bozkiej Częstochowskiej, wraz z wyrazami uznania i czci dla jej wytrwałej, świętej pracy. Jubilatka dotąd pozostaje czynną.

— W sprawozdaniu Dr. Fritsche z zeszłorocznych kolonii letnich dla ubogich dzieci znajdujemy wzruszające wspomnienie o nieżyjącej już dziś Teresie Rusanowskiej. Za życia nie pozwalała ogłaszać czynów miłosierdzia i dobroczynności swojej, ale dziś, gdy zakaz ten już ustaje, Dr. Fritsche wdzięcznie wspomina, jak gorąco zajmowała się *koloniami letniemi*, zbierając składki, dokładając sama do nich, interesując się żywo losem niemal każdego wysyłanego dziecka. W roku zeszłym uszyła własnoręcznie z materyału za jej pieniądze nabytego 30 sukienek dla mniejszych i starszych dzieci, i wiele drobnej bielizny.

W dalszym ciągu sprawozdania znajdujemy inne jeszcze nazwisko kobiety, której Dr. Fritsche dziękuje za zajmowanie się koloniami letniemi „ze szczególnem poświęceniem." P. Walerya Trzetrzewińska, właścicielka Janowa w okolicy Nowo-Mińska, oddała do dyspozycyi zarządu kolonii „raz na zawsze bardzo porządny dom pod lasem", gdzie czwarty już rok przebywają w dwóch sezonach znaczne partye dzieci. W roku zeszłym było tam w sezonie pierwszym 19, w sezonie drugim 22 dziewcząt, których utrzymanie kosztowało, jak zawsze, mniej niż gdziekolwiek, a to dlatego, że p. Trzetrzewińska udziela kolonii rozmaitych zapasów pożywienia, przytem zarządza tam z jej ramienia wyznaczona gospodyni i Dr. Fritsche pisze: „Gdyby więcej takich osób i gdybyśmy mogli wszystkie kolonie w ten sposób mieścić, ileż to tysięcy rubli oszczędzilibyśmy dla biednych dzieci, i ileż więcej moglibyśmy ich wysłać." Kiedy były kolonie, w których żywienie dzieci miesięcznie kosztowało według cyfr wykazu po 18, 17 rs., w Janowie koszt ten był: w pierwszym sezonie 10, w drugim 8 rs.

Drugą kolonią, gdzie także troskliwie zajęcie kobiety staje się dobrodziejstwem dla biednych dzieci, jest Jadów, posiadłość hr. Zdzisława Zamojskiego. Przy jego łaskawej pomocy zajmuje się tam żywieniem zacna p. Watson i miesięczny koszt utrzymania dziecka był: w pierwszym sezonie 13, w drugim 11 rs. Że tu przecież przebywali chłopcy, zatem jest to prawie taka sama taniość, jak w Janowie. Gdy jednak—pisze Dr Fritsche—znalazło się tylko dwie takie opiekunki biednych dzieci, zatem zarząd powinien szukać sobie uczciwej gospodyni, i taką uczciwą była, zajmująca się żywieniem dzieci w Cieksynie, p. Rybka.

Dołożyło się dobroczynnie do pomyślności kolonii grono pań, które zajęły się poszyciem bielizny i letniej odzieży dzieci; rozebrały tę pracę między sobą i dokonały jej poczciwie podczas zimy i wiosny. Dobroczynne te szwaczki pragną zostać bezimiennemi i dlatego Dr. Fritsche nie podaje nazwisk. Wśród 130 ofiarodawców, składających datki pieniężne, spotykamy jedynie 30 kobiet: czy to procent nie za mały na ilość kobiet, zamieszkujących Warszawę? Niech dary nie będą wielkie, ale niech będą liczne, bo godzi się, aby kobieta klas zamożniejszych była tkliwa na nędzę i cierpienie dziecka kobiety ubogiej, aby odczuwała sercem wzruszonem jego niedolę. Miło uderza zbiorowy datek uczennic z pensyi p. Jadwigi Sikorskiej: rs. 60—znać tu szlachetny kierunek, poczciwe budzenie w sercach młodych tego, co jest poczuciem się do obowiązków społecznych.

— Brandes po pierwszej swej u nas bytności spisał wrażenia swoje i ogłosił je drukiem w miesięczniku duńskim, wychodzącym w Kopenhadze: „Tilskueren" (Widz). Znajduje się tam sylwetka kobiety naszej, skreślona tak, jak się w moralnym swym zarysie odbiła przed oczyma cudzoziemca na tle społeczeństwa swego: podajemy ją, czerpiąc ze skróconego przekładu, umieszczonego w *Kraju*, (N. 14). Najwydatniejszą z naszych cech charakterystycznych w stosunku do innych narodowości widzi Brandes w takiej działalności naszej kobiety wśród ruchu

ogólnego, że dostrzega w niej „przewagę pierwiastku żeńskiego nad męzkim.“ Ponieważ nazywają nas w Europie Francuzami Północy, więc obraz naszego społeczeństwa kreśli on na podstawie różnic i podobieństw do społeczeństwa francuzkiego. Że stosunek mężczyzny do kobiety nie jest tu jednakowym, poznać się dało zaraz duńskiemu badaczowi z codziennej tu i tam rozmowy. „Kiedy u Francuzów w rozmowie między mężczyznami jest przedmiotem kobieta, panuje zawsze ton nadzwyczaj swobodny, niekiedy wstrętny dla obcych i wogóle nizki; to tym czasem Polacy, rozmawiając o kobietach wyrażają się zazwyczaj z wielkiem ciepłem, często z podziwem, a—o ile mogłem zauważyć—prawie nigdy nie pozwalają sobie płochości.

Spostrzeżenie pewnego włoskiego pisarza daje Brandesowi możność objaśnienia sobie głębszej przyczyny tego. Włoch ów sądzi, że „u ludów germańskich, biorąc na ogół, mężczyzna zdolniejszy jest od kobiety; u ludów romańskich obie płcie stają na jednym poziomie zdolności; gdy tymczasem u Polaków, jako najwłaściwszego narodu słowiańskiego, kobieta ma przewagę nad mężczyzną.”

„Cudzoziemiec, porównywając swoje wrażenia w Warszawie, z wrażeniami dziejów, czuje się zniewolony do przyznania słuszności tym słowom. Mężczyznom nie zbywa zapewne na namiętności, energii i odwadze, ale zdaje się, że kobiety posiadają to w wyższem stopniu. Mężczyznom nie brak ducha, rozumu i zdolności do czynu i miłości, lecz kobiety mają tych przymiotów, jakoby więcej. Grażyna Mickiewicza miała naśladowczynie swej dzielności w bieżącym stuleciu; sławną jest przed innemi Emilia Platerówna, młoda dziewica z jednej najpierwszych rodzin, która zmarła w wieku lat 26 z wyczerpania sił w samotnej chacie leśnika.”

„Czasy podobnych czynów minęły, ale kobiety są zawsze najgorliwszemi obywatelkami, bo czują najgoręcej, a jak najmniej krytykują“ pisze Brandes w dalszym ciągu, dodając przecież, że w ostatnich dziesiątkach lat wpływ kobiet zmniejszył się nieco i jako przyczynę tego podaje, najpierw, że w kobiecie nastąpiła też pewna zmiana, że wiara jej zmalała, że „znika, jeżeli już gdzie nie zniknęła“—że rozprzęga się jej węzeł z religią i temu przypisuje zmniejszenie jej wpływu, zapewne, jak wnieść można z tych słów, przez zmniejszoną w piersi kobiety uczuciowość i siłę zapału, a może i przez zmniejszoną w stosunku do mężczyzny moc uroku w kobiecie pozytywnej. „Kobieta działała (dawniej) w podobny sposób, jak kapłan“ pisze wśród tych wywodów Brandes, co każe przypuszczać, że ze zniknięciem tego kapłaństwa w religii uczuć i uniesień idealnych, kobieta posiada wobec mężczyzny tylko ten jedyny urok, jaki naprzykład ma ona dla mężczyzny we Francyi i w skutek czego już się nie mówi, więc i nie myśli o niej „z wielkim ciepłem, z podziwem, nie pozwalając sobie na płochość“. Ale przeciw tym wnioskom Brandesa trzeba zaprotestować w ten sposób, że nie można ich rozszerzać na ogół, choćby tylko warszawskich stosunków. Nie miał on jeszcze sposobności poznać dokładnie, wskróś, kobiety naszej, bo bywał tylko w pewnych kołach, w pewnych sferach i sąd jego, trafny niewątpliwie, uważać jednak trzeba za zcieśniony. Ogół kobiet naszych jeszcze nie stracił tej uczuciowości, tego zapału, który ze świętości idealnych uczuć i wierzeń powstaje.

Drugim powodem zmniejszonego wpływu kobiety na mężczyznę, który podaje, jest to, że przez zaniknięcie życia publicznego, stosunki towarzyskie muszą służyć za forum, więc mężczyzna dla potrzebnej mu wymiany myśli w tych stosunkach więcej się zwraca do towarzystwa innych mężczyzn, i w skutek tego w salonie nawet następuje rozdział, przez który, kobiety czują się odepchnięte, lekceważone, opuszczone, tak jak w Niemczech, gdzie mężczyźna spędza wszystkie wieczory w piwiarni. Ztąd wpływ kobiety u nas „może mniejszym jest nawet niż we Francyi” pisze krytyk duński, ale zdaniem moim zanadto przytoczoną przyczynę pogłębia dlatego, że obok dwóch które podał, nie postawił trzeciej: — czy kobieta dzisiejsza przy zwiększającej się coraz elegancyi swojej, nie staje coraz więcej lalką, co rozdział między nią i mężczyzną wzmaga? Wdzięk kobiecej urody, piękność kobieca pociąga niewątpliwie mężczyznę i czaruje go, ale nic w tem nie znaczą dla niego takie, a nie inne falbanki, śpięcia, podpięcia. Czem wyższy i szlachetniej wyrobiony jest w nim smak estetyczny, czem wyższem i szlachetniejszem jest jego uwielbienie kobiety, tem więcej oddala go od niej ten wykwint w gałgankach. Że Brandes myli się nieraz, że nawet, mimo swej wielkiej spostrzegawczości i bystrości; mylić się musi, przy bardzo ograniczonych danych, jakie mógł zebrać do sformułowania sobie o nas sądu, służyć może za dowód to, co pisze o sposobie zawierania się u nas małżeństw, które jakoby kojarzyły się tak, jak we Francyi, gdzie młoda para ledwo, że się zna ze sobą. Tłómacz opatrzył to spostrzeżenie znakiem zapytania, jak wiele innych. W sądzie swoim o wpływie kobiety naszej, więc o społecznej jej działalności dotknął Brandes kwestyi bardzo ważnych do których też jeszcze wróci pismo nasze.

— W Kopenhadze grono kobiet przejętych uczuciem miłości kraju i myślą o nim, utworzyło komitet obrony narodowej i zaczęło zbierać składki na wzmocnienie fortyfikacyi miasta. Zebrano już więcej, niż milion koron.

— Korespondent angielskiego Times'a w Bulgaryi pisze w tym dzienniku o młodej dziewczynie, która przebrana po męzku odbyła całą kampanią, odznaczyła się takiem męztwem pod Sliwnicą i Pirotem, że otrzymała dwa medale za waleczność, nie zdradzając niczem swej kobiecości. Uważano ją za młodego chłopca, ochotnika, który zaraz w początkach wojny zaciągnął się do milicyi, i jeden tylko komendant jej kompanii wiedział prawdę, którą mu powierzyła sama, gdy wyruszano ku granicy Serbskiej, a to pragnąc zachować trochę swobody, któraby jej pozwoliła nie zdradzić swego sekretu. Zaraz po zawieszeniu broni wróciła do Widynia, zkąd jest rodem, i weszła w służbę u tej samej pani, sędziwej już staruszki, u której służyła poprzednio, a nie kryjąc już prawdy, gdzie była dotąd, powiada, że gdyby Bulgarya potrzebowała znowu walczyć z nieprzyjacielem—Turkiem, Serbem, lub jakim bądź innym, poszłaby znowu się bić, ale teraz już by nie zrzucała sukni kobiecych, bo umiałaby sobie radzić w każdym wypadku. Oba medale nosi przypięte do gorsetu, jaki noszą dziewczęta bulgarskie i jest pod każdym względem niezmienioną, skromną i prostą dziewczyną z ludu. Ogólny głos twierdzi, że jest bardzo uczciwa i nieposzlakowanych obyczai. Angielski korespondent sądził, że może przywiązanie do kogoś, który został wezwany do milicyi, skłoniło ją do tego kroku, ale nie. I dziewczyna się nie przyznaje do tego, i nikt z jej znajomych nie wpada na ten domysł; jest tylko niezmiernie nabożną i ma naturę egzaltowaną.—„Jest to na mniejszą skalę Joanna d'Arc—pisze anglik—brakuje jej tylko korony męczeństwa i aureoli, któraby ją wtedy otoczyła. Głosy świętych nie mówiły do niej w cieniu starożytnego lasu, ale opowiada, że jej się rzecz wyśniła. Śniło jej się trzykrotnie, że była na wojnie i biła się za Bulgaryą.—Więc też poszłam się bić... opowiada.“

— Marya Nowak z Wrocławia i Ella Mensch z Darmstadtu otrzymały doktorat filozofii w uniwersytecie Zuruchskim. Doktorazycyjne ich rozprawy i examina miały być świetne.

MYŚLI

Józefa Bohdana Zaleskiego.

Szczęścia, sławy, dostatku, nie zajrzęłnikomu.
I dla tego mam spokój i w sercu, i w domu.

Kto raz kochał prawdziwie, dostał znak proroczy:
Zachowa i w starość nawet młode oczy.

Łza, to krew także, tylko krew nie z ciała,
Lecz z duszy, i dlatego wskróś przejrzysta, biała.

Czem ludzie czynu stają wyżej? Ludzi czynu
Bóg stwarza z osobnego, kosmicznego płynu.

Dnie powszednie to trawa na pokos; pamiątka
To fijołek woniący gdzieś z duszy zakątka.

Wpływ geniuszów ztąd bywa płodny, lub jałowy,
Wedle tego zkąd czerpią: czy z serca, czy z głowy?

Pochwała głośna w oczy wstydzi mnie i nudzi,
Bo jest jak ów grosz jawny dobroczynnych ludzi.

Serce młode jak bezmiar niebios—w sercu młodem
Bóg zdołałby zamieszkać z całym ludzkim rodem.

W czasie bódaj rej wiodą pospolite dusze,
W nieskończoności czasów—tylko gieniusze.

Poznaje mistrza pierwej nim granie usłyszę,
Z tego tylko, jak palce spuszcza na klawisze.

Miłość—jedynie to kapitał szczery,
Sława—to jeno giełdowe papiery.

Kto nie spożywał we łzach swego chleba,
Kto nie przepłakał, zbolały na ciele,
W łożu niespanych, długich nocy wiele,
Ten jeszcze nie wie, co pociecha z nieba.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arknsz 5-ty powieści pod tytułem: Szaleństwo, przez Z. Mairet.

TREŚĆ. Chrystus i niewiasty, poezya. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Kraków. — Najnowsze wynalazki i odkrycia naukowe, przez W. Niewiadomskiego. — Nowiny paryzkie. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli.
Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairet. — Przegląd mód. — 34 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Апрѣля 1886 года.